

Andrzej Turczyński

Ceremoniały

CEREMONIAŁY



Andrzej Turczyński, ur. w 1938 r. w Lublinie – poeta, prozaik, eseista i tłumacz. Laureat licznych nagród, m.in. Fundacji Kultury za „Rzeki popiołu” (1994), im. Księcia Konstantego Ostrońskiego (1997), im. Świętego Brata Alberta (1999), Nagrody Specjalnej Ministra Kultury (2005, 2010). Jego powieść „Znużenie” została nominowana do Nagrody Literackiej NIKE (2001) oraz do Paszportu Polityki, a „Koncert muzyki dawnej” (2012) znalazł się w finale Nagrody Literackiej GDYNIA. Wydał ponad 50 książek, m.in. „Żdźbło morza” (1971), „Wypluczysko” (1977), „Fiasko” (1986), „Chłopiec na czerwonym koniu” (1991), „Rzeki popiołu” (1995), „Mistrz Niewidzialnej Strony” (1996, 2011), „Tryptyk ruski” (1998), „Znużenie” (2000), „Mgnienia” (2000), „Święto ikony” (2002), „Latopis. Powieść doroczna” (2007), „Ten szalony pan Puszkina. Słowo o udrećce” (2008), „Uzurpacje. Eseje paraboliczne” (2009), „Zgorszenie” (2011), „Mały ikonostas Bogarodzicy” (2012), „Miniatura z gazelą” (2012), „Homo pictor, homo viator” (2013). Mieszka w Koszlinie.

Andrzej Turczyński

CEREMONIAŁY



Copyright © Halina Olsińska-Turczyńska, 2017
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2017

Wydanie I
Pruszków 2017

ISBN 978-83-62247-51-6

Halszce

Drzewo nocnego wiatru

Benedykt, powołując się na uwagę Hartleya: *The past is a foreign country: they do things differently there*, przekonywał o nierozdzielności tego, co niegdyś, od tego, co nieuchwytnie, umykające zmysłom, znikające nie wiedzieć kiedy, dziś. Utrzymywał także, iż los jest czymś poza przypadkiem, ale też i poza koniecznością, będąc od nich niezależny. A co się tyczy konieczności, to oczywiście raczej ma Szestow, gdy notuje, że „wszelka konieczność jest ograniczeniem”. Tak czy inaczej, perorował, blado się uśmiechając, mizerną jest mi pociechą, że przemijam w kontinuum czasoprzestrzeni, jeśli w ogóle można tutaj chwycić się jakiejś pociechy.

Benedykt i Bernard pod rozłożystą koroną czerwonego klonu grali w szachy. Od trzydziestu lat spotykali się w piątkowe popołudnia, aby rozegrać jedną partię, którą nieodmiennie któryś z nich rozpoczynał gambitem królewskim, oczywiście ryzykując głową. Partię rozgrywali w ściśle ograniczonym czasie: od popołudnia do przedwieczery, zatem jeśli zdarzyło się – a zdarzało się! – że partii nie rozstrzygnięto, figury szły do pudła, B. i B. podawali sobie ręce i rozchodzili się każdy w swoją stronę. Faktem bynajmniej nie bagatelnym jest, że graczami byli kiepskimi, nawet ulubiony przez nich ów gambit królewski w dalszej rozgrywce nie rozwijał się zgodnie z przewidywaniami białych, kończąc się blokadą wszystkich figur, ale i tak w opinii kibiców w sąsiedztwie

czerwonego klonu uchodzili za szachowe znakomitości, omal za arcymistrzów w rodzaju Botwinnika, Kasparowa, Fischera, nie mówiąc już o Capablance. Niebo tak na przestrzał błękitne, że gdyby się było bezgrzesznym, można by spoglądać w oczy aniołom lub nawet demonom – zauważa Benedykt i wybuchu śmiechem. Śmieją się gapie i stali obserwatorzy, dziś rozgrywce kibicują obydwie frakcje. Szachiści bezbłędnie je rozróżniali, tak jak nie rozdzielali wczoraj od dziś. Prawdziwi królowie królewskich gambitów, niezależnie od jakości wykonawstwa. I nie tylko! Także wyborni gawędziarze i dyskutanci na każdy temat, pod warunkiem, że dotyczy fizyki cząstek elementarnych, metafizyki Spinozy lub Boga w ujęciu Anzelm z Canterbury. W razie wystąpienia jakichś sprzeczności lub wątpliwości zawsze można odwołać się do liderów kibicujących im frakcji, chociaż na ogół *vox populi* nie jest słyszalny. Skonsterowany lud milczy, spuszcza wzrok na czubki butów w oczekiwaniu na królewski wybuch śmiechu, i już po sprawie, *play show must go on*. Jeden z graczy był nauczycielem, czy też profesorem, panem od fizyki, a drugi panem od propedeutyki filozofii w miejscowym liceum. Któregoś wieczoru wpadli na siebie. O, przepraszam, zamysliłem się, sumitował się pierwszy z nich, na co drugi: To ja przepraszam, zagapiłem się, więc o wybaczenie proszę, ale w jego tonie zabrzmiała wyraźnie żartobliwa nutka, która trochę zirytowała pierwszego, więc, aby już mieć uprzejmości z głowy, rzucił: Ależ to głupstwo! i już wymijał drugiego, lecz ten zastąpił mu drogę. Możliwe, rzekł, ale zawsze pozostaje jakieś ale, nieprawdaż? Nie ma o czym mówić, nie ulegał tej z lekka prowokacyjnej zaczepce pierwszy. No, w zasadzie, ale jednak, gdyby, i tak dalej, pan rozumie. Święta racja, bez dwóch zdań, ale pozwoli pan, że zapytam: grywa pan w szachy? A owszem, choć słabo. Przypadkowe to spotkanie dla każdego z nich okazało się czymś w rodzaju przeskoku z jednego świata do drugiego, z nieobecności w życiu drugiego do powoli niezbywalnej obecności w nim, od nieznamości do znajomości sprowadzającej się do cotygodniowej partyjki pod koroną

czerwonego klonu, tej specyficznej nader przygodności, wynikającej z niespodziewanego, by tak rzec przelotnego przypadku. Traf, i tyle. Benedykt, Bernard – panowie podali sobie ręce, przedstawili się imionami, wbrew obyczajowi ludzi ich pokroju, na razie nie wyjawiając nazwisk, może pamiętając procedury cesarskiego ceremoniału funebralnego Habsburgów. Tenże traf sprawił, iż rozmawiając, przeszli kilka kroków, a dzień był jaskrawo lśniący w słońcu, więc skryli się w czerwonym cieniu klonu i przysiedli na ławce bez oparcia, w sam raz nadającej się do rozłożenia na niej szachownicy. Pogadując o wszystkim i niczym, jak to na początku każdej znajomości, o której nie wiadomo, jak i czy w ogóle się rozwinię. A wie pan, że teraz szachy uchodzą prawie wyłącznie za dyscyplinę sportową. Tak, komu potrzebna rozgrywka tak intelektualna. Patrząc po sobie, wybuchają śmiechem. Teraz już śmiało mogą się umówić na partyjkę. Tutaj? Tutaj, to całkiem dobre miejsce. Nawet bardzo dobre. Wobec tego, czy odpowiada panu następny piątek, o ile nie będzie padać. Wtedy kolejny piątek? Wspaniale. I rozchodzą się, każdy w swoją stronę. Po latach zauważają, że z ich czasem dzieje się coś dziwnego, to znaczy z subiektywnym jego odczuwaniem – Bernard twierdzi, że czas ucieka, Benedykt – że goni jak szalony, że wyprzedza jego życie, stojąc w miejscu – wobec postępującej w nich starości. Nie mówią o niej głośno, lecz mimo słabnącego wzroku dostrzegają u siebie nawzajem i u siebie samych takie, siakie i owakie jej symptomy, słowem: tetryczenie. Zaczęli sobie prawić drobne złośliwości, choćby komentując powstałe na szachownicy sytuacje, dąsać się na siebie, testować ponad miarę cierpliwość drugiego, odwracając wykonanie ruchu i tak dalej. Fizykowi Bernardowi zdarzyło się nawet zgarnąć w złości i strącić z planszy na ziemię figury, po czym przez trzy tygodnie rozgoryczony Benedykt nie stawał na placu boju, chociaż z ukrycia obserwował też ukrywającego się nieudolnie partnera. Jednakże w wietrzny piątek czwartego tygodnia września obaj stawili się do partii, Benedykt uściskał Bernardowi dłoń obydwoma rękami.

Wszystko w porządku? Tak jakby, wyłączając drobiazgi. Nic, tylko się cieszyć – Benedykt uśmiechnął się z zażenowaniem – ale i tak powiem, że wisi panu u nosa kapka. Bernard skinął głową, dziękując, i wyjął z kieszeni elegancką, z zaprasowanymi kantami, chusteczkę do nosa. Rozdzieleni szachownicą okraczyli ławkę – tego popołudnia białe wylosował Benedykt, więc zgodnie z tradycją otwiera partię klasycznym gambitem e4 e5, ale czeka go niespodzianka: Bernard nie przyjmuje zagrania, odrzuca gambit białych i po długim namyśle zagrywa Gc5, następnie wciągając głęboko powietrze, podnosi twarz ku niebu, ku jasnym obłokom, płynącym powoli po skosie z południa na zachód, przy okazji pokazując partnerowi niedokładnie wygolony podbródek i sztywne, posklejane śluzem włoski sterczące z nosa. Ohyda! Właściwie to od kilku dni mam się marnie, mówi Bernard, na co Benedykt: Nie ma sprawy, szczerze mówiąc, ja także nie mam wielkiej ochoty kontynuować. Na dworze niby ciepło, a mimo to chłodno. Drzewo rzuca głęboki cień, samo tkwiąc w strudze słonecznych promieni. Oddaliśmy się, głosem wyzbytym z dźwięczności odzywa się Bernard. Tak, a od czego? Od życia, po prostu od życia, fizyk nieznacznie wzrusza ramionami. Byli sami, z biegiem czasu ich frakcje się wykruszyły – jak długo można kibicować milczeniu albo stwierdzeniom, po których zapomina się języka w gębie, i ruchom rąk przesuwających pionki czy delikatnym stuknięciom o powierzchnię planszy. Nie tylko gracze, wszystko wokół nich traciło impet, starzało się, zmieniało, a czas zawisał na wszystkim obojętnie. Wielki czerwono-żółty komin starego browaru saperzy wysadzili w powietrze; największa w dziejach miasteczka En powódź zalała piwnice i zniszczyła gromadzone dekadami dokumenty miejskiego archiwum, mieszczącego się w dawnej klasztornej kaplicy, adaptowanej do jego potrzeb; instytucję zainstalowano w nowoczesnym budynku, a „klasztorek” stał się na pewien czas przystanią miejscowych mętów, aby w końcu podzielić los komina. B. i B. przyglądali się, jak taran, ogromna stalowa kula burząca, podczepiona u ramienia

potężnego buldożera rozwała zwietrzałe warowne mury średnio-wiecznej budowli: *Sic transit gloria mundi*, przypomniał na odchodne Benedykt, z szacunkiem uchylając przed ruiną kapelusza. Z klonu osypały się liście, przyszły deszcze, ale w któryś piątek partnerzy przeciwnicy, znajomi nieznajomi spotkali się pod swoim bezlistnym drzewem. Spodziewałem się pana tutaj, wymamrotał Bernard, przepraszam za bełkot, ale zgubiłem protezę. Współczuję, coś o tym wiem, ale wracając do rzeczy, ja też byłem pana pewny, bo to już jutro. Niestety, tak przeczytałem. Co im wadzi tutaj nasze drzewo? No wie pan, mamy nowe czasy, a to było nie było czerwony klon, *Acer rubrum*, choć to może nie do końca prawda, bo czerwony jest tylko w porze kwitnienia i jesiennego gaśnięcia. Ano tak. Stali naprzeciwko drzewa, mając przed sobą jego gładki popielatogłębi pień, rozłożystą koronę ze wspinającymi się skośnie ku niebu gałęziami. To jego ostatnia noc, jutro o tej porze, no cóż, *vous vous comprenez – vie et la mort*, sepleniał Bernard, wyjmując z kieszeni prochowca niewielkie płaskie zawiniątko przewiązane biało-czerwonym sznurkiem. Pan wybaczy, to nic takiego, ale... no nic, do otwarcia w domu. I niespodziewanie klepnąwszy Benedykta w ramię, lekko powłócząc nogą, już szedł w stronę śródmieścia. Benedykt patrzył za nim, ściskając w ręku twardy płaski pakiecik. Zaczął prosić śnieg drobny i ostry jak stalowe strużyny, kiedy Benedykt wchodził w swoją krótką, nieco zwichrowaną uliczkę. W nocy tak wiało, że dom zdawał się drzeć w posadach, wiatr przewalał się, dudniąc w przewodach wentylacyjnych, brzęczały szyby, potrząskiwała podłoga i meble, rwący się poszum nagich gałęzi okolicznych drzew to przycichał, to docierał do wnętrza mieszkania z niepojętą furią, jednocześnie górny wicher toczył obłoki oświetlone fosforycznie zimnym blaskiem księżyca, przesuwiał wielkie ławice granatowoczarnych chmur. Benedykt odczuwał bolesne nierówne kołatanie serca i duszność, ciało powlekle chłodna warstewka potu, a pragnienie zmusiło, by wstał się napić; do łóżka wracał, telepiąc się z zimna.

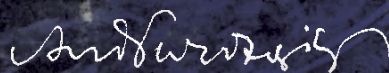
Poranek nadal był wietrzny, niebo jak zamieciono, nawet strzępka chmury. Zniknęła nawet wieczorna śnieżna poproszka. Nie wyspany, jeszcze nieogolony, z podkrążonymi oczyma Benedykt stał w kuchni, zaparzając herbatę i porcjując leki. Wcześniej myślał odwiedzić córkę, ale już odeszła go ochota, czuje się marnie, marniej niż zwykle, wystarczy, jak zadzwoni; nie okazywać słabości i nikomu nie zawracać głowy swoją osobą – tak brzmią zalecenia starości. Usiadł przy podokiennym stole i patrząc w głąb uliczki, zażył poranne tabletki, herbatę miał, jak lubił: mocną i cierpką. Za oknem nieliczni przechodnie, bliżsi i dalsi sąsiedzi z psami na smyczach walczyli z wiatrem, idąc mu naprzeciw albo popędzani nim, ledwo trzymali się na nogach. Starsza kobieta omal fruwała w pełerynie. Właśnie wtedy przypomniał mu się zagadkowy podarunek, dotąd tkwiący w kieszeni kurtki, podreptał więc do przedpokoju. Rozsupłał sznurek, odwinął z papieru i oto miał przed sobą wsunięty między sztywne plastikowe okładki wyrwany skądś początek zapisu nutowego sławnej „Ciszy” Niniego Rosso.

Dziwny, nawet w jakiś sposób niedorzeczny podarek, no, bo gdyby jeszcze płyta z tym utworem, ale nuty? Co jemu po nich, skoro nie potrafi nawet ich odczytać, a i samej kompozycji nie kojarzy z tytułem „Il silenzio”. Tak czy inaczej ekscentryczny gest Bernarda bardziej go zaskoczył i zeźlił, niż ucieszył, chyba że Bernard tym osobliwym sposobem chciał mu coś przekazać, wyjawić coś, co nie dałoby się wyrazić inaczej, w innej formie, ale nie zamierza łamać sobie nad tym głowy, nie pojmie sensu tego przesłania. Niemy kuchenny zegar z kukułką przynajmniej dwa razy na dobę wskazujący dobrą godzinę – pierwszą z kwadransem po północy i trzynastą z kwadransem po południu – niespodzianie uprzytomnił mu, że mimo stosunkowo wczesnej pory dobrze byłoby wyjść, zobaczyć, jak ma się sprawa z klonem. Ubierał się, mamrocząc Jesienina zaczątek wiersza o klonie: *Клён ты мой опавший, клён заледенелый, | Что стоишь, нагнувшись, под метелью белой?* Sam się zdziwił, że to pamięta. Zanikał pośród szumu przelewającej mu się w sercu krwi

czy może nadciągającej skądś wichury. Już z daleka widział, chociaż klon stał na swoim miejscu nietknięty piłą ni siekierą, że coś się wydarzyło: wokół drzewa kręcili się policjanci, parkowały policyjne radiowozy. Doszedłszy do grupki gapiów, zapytał o powód zamieszania. Ktoś się nocą obwiesił na tym drzewie, jakiś starszy facet. No, rzucił ktoś, dawniej się gadało, że kiedy nocą wiatr wieje, to wisielcem na sznurze pomiata i chwieje, widać to prawda. Wisielcze drzewo, powinno się ściąć francę, prawdę mówię, co nie? Ludzie powoli się rozchodzili, a za nimi powlókł się też Benedykt z bolesnym uczuciem daremności śmierci Bernarda, która nie ocali ich czerwonego klonu, podobnie jak nic nie ocali świata ni ludzi przed ludźmi właśnie.

Zaczął prószyć śnieg, a kiedy Benedykt dochodził do domu, oślepiła go już zamieć.

Czuję się pisarzem niezależnym tym szczególnym rodzajem niezależności, która pozwala być – nie ulegając bezpośrednim wpływom – wiernym trzem różnym literackim tradycjom: literatury rosyjskiej, francuskiej i polskiej. Wciąż bliskie jest mi też dzieło Dantego i Szekspira, niewykluczone, że pod wpływem Eliota, który gdzieś zauważył, iż „Dante i Szekspir podzielili między siebie świat: trzeciego nie ma”, choć dostrzegam, że jednak jest świat trzeci, którym włada Goethe. Wyptywając z takich źródeł, moje pisarstwo nie może się ograniczać do rejestracji powierzchni, płaszczyzny zewnętrznej życia, którą każdy widzi. Nie mam nic wspólnego z pozytywistycznym lustrem, bo chyba nie jest dobrze, jeśli pisarz kontempluje swoje dzieło, a jeśli już, to najlepiej, aby wybrał sobie technikę taoistyczną: być jak lustro, czyli odbijać obrazy świata, ale ich nie zatrzymywać.



Okładka:
Anna M. Koźbiel-Walas

Zdjęcie autora:
Henryk Maćkowiak

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-51-6

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Cena: 27 zł

ISBN 978-83-62247-51-6



Gdyby powiedzieć, że „Ceremoniały” są książką o umieraniu, byłaby to prawda cząstkowa. Bo są one jednocześnie pochwałą wszelkich form życia, hymnem na cześć *élan vital*. Białooka Turczyńskiego jawi się jako artystka – niezwykle pomysłowa; brutalność skutecznie przystania poezją, a konieczność przedstawia niczym wybór atrakcyjnej tanecznej figury. Fascynuje i wabi. Nieistnienie staje się w ten sposób formą istnienia – poszerzają się granice świata, rozciągają czas i przestrzeń, a ludzkie materialne figurki z pewnego miasta En bez trudu znajdują sobie sąsiadów wśród istot stworzonych przez wyobraźnię, uwięzionych w ramach obrazów czy między kartami ksiąg. Droga do kamienia mądrości – niegdyś zawłaszczana przez magów – może stać się udziałem nawet spracowanej starej kobyty. W świecie Turczyńskiego – tak bardzo zanurzonym w przeszłości i sztuce – czuć się powinien jak u siebie każdy współczesny czujący ekolog.

patroni medialni



WIEŻ

